OPIEKUN DOMOWY

Warszawa dnia 11/23 Stycznia 1867 roku.

Nr 4. | Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji na stacjach pocztowych 75 kop. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. | Rok III.

Męczeństwo Ś-go Sebastjana.

Święty Sebastjan urodził się w mieście Narbonnie około r. 280 po Chrystusie. W Medjolanie odebrał staranne wychowanie i w młodym bardzo wieku wstąpił do wojska. Działo się to za panowania cezarów Rzymskich Djoklecjana i Maxymiljana największych prześladowców chrześcijan. Sebastjan w wielkiéj był u nich łasce, tak, iż zrobili go dowódzcą pierwszéj roty i prawie obejść się bez niego nie mogli. Był bowiem, jak mówi Skarga, mężnym, wielce mądrym, w mowie prawdziwym, w sądzie sprawiedliwym, w radzie opatrznym, w zleceniu wiernym, i we wszelkich obyczajach uczciwym i u wszystkich wziętym. Mieli go żołnierze sobie za ojca i dwór go wszystek miłował i bardzo ważył. Pomimo szacunku i poważania u Rzymian, pomimo łask cesarskich i świetnéj w przyszłości karjery, był on przecież skrycie chrześcijaninem i choć dobrze wiedział co go za to mogło czekać, nie zrażał się niczém: ani widokiem okropnych mąk, które wierni wyznawcy Chrystusa ponosili, ani płonącemi stosami, ani



Męczeństwo Świętego Sebastjana.

jękami uwięzionych, jednêm słowem był tak dobrym chrześcijaninem, jak dobrym był żołnierzem. Obowiązki swego stanu wypełniał pilnie. W godzinach wolnych od służby, zgromadzał u siebie potajemnie chrześcijan na rozmowy pobożne, lub też chodził z nimi do katakumb, gdzie na grobach męczenników modlił się, pokrzepiał ducha i coraz bardziéj utwierdzał się w wierze. A jako bliski tronu i wtajemniczony w niektóre rozkazy i rozporządzenia dworu, nieraz ostrzegał swych braci o grożącém im niebezpieczeństwie, ułatwiał im ucieczki, nie ścigał ich, — i co mógł to dla nich robił.

Nareszcie, prześladowanie wzmogło się niedouwierzenia. Kto nie był poganinem, kto nie składał publicznie ofiar kamiennym bogom, ten nie był pewnym dnia ani godziny. Rozpuszczeni siepacze jawni i tajni, pełzali po najskrytszych miejscach i oddaleniach i każdego podejrzanego o wiarę w prawdziwego Boga oskarżali, porywali z objęć rodziny, zmuszali do bałwochwalstwa, a stałych i niezachwianych w wierze Chrystusa, wiedli na stosy, tortury, lub do cyrku na pożarcie lwom i panterom. Krew płynęła obficie: Rzym, całe Włochy, Azja, Afryka, codziennie prawie były świadkami serce przejmujących scen, na które dziś świat cywilizowany wzdryga się od oburzenia i zgrozy.

Pewnego razu, porwano w Rzymie dwóch braci bliźniąt: — Marka i Marcelina i wtrącono ich do więzienia. Żadne namowy, żadne groźby, strachy i obietnice łask nie mogły ich doprowadzić do zrzeczenia się Świętéj wiary, a do pokłonienia się bałwanom zmusić. Sprobowano jeszcze jednego środka: Cezar kazał ich zamknąć w turmie, a po pewnym czasie zwołano do nich ich pogańskich rodziców, siostry, krewnych i przyjaciół, aby ci swemi namowami wpłynęli na stałość mężnych i nieustraszonych młodzieńców. Rozdzierający był widok, kiedy ojciec i matka rzucili się do nóg swych dzieci i zaklinali, aby się wyrzekli nowéj Zbawiciela nauki, aby im nie robili wstydu i boleści, aby ich sieroctwem nie zasmucali. Ojciec ukazywał im swoje siwe włosy, matka swą pierś którą ich karmiła. Płacz, lament i krzyki rozbijały się o mury ciemnicy, o uszy i serca Bożych wybrańców, tak iż ci nie mogąc znieść naturalnych wzruszeń czułości, już się chwiać zaczynali w wierze. Wtém niby anioł pocieszyciel, staje w pośrodku nich Sebastjan. A przyznać trzeba, że z jego strony był to krok śmiały i odważny; przedzierać się przez straże, wystawić się na obwinienie i nieufność, a choć żołnierze jako rotmistrza wszędzie go puszczali, podejrzenia przecież i śledzenia — mógł się był obawiać na każdem miejscu. Lecz jemu już o nic nie chodziło: zbrzydził sobie dwór, prześladowania i męczeństwa spać mu nie dawały, raz nakoniec postanowił wystąpić jawnie i oddać wraz z innymi życie za Tego, który na Kalwarji krew przelał za świat cały.

Stanął więc pełen zapału w ponurém więzieniu i ognistém okiem powiódł po obecnych. Wszyscy spojrzeli na niego. Przez małe u góry kraty jasne promienie słońca wpadając do czarnego podziemia, wspaniale odbijały się od stalowéj Sebastjana zbroi i płonęły ogniście na lśniących dyjamentach i hełmie.

— Dziwowałbym się wam bardzo mocnym i tak wielkim, odezwał się do Marka i Marcelina, mękami niezwyciężonym Chrystusowym żołnierzom, gdyby takie dziecinne i niewieście łzy i lekkie narzekania, serca wasze zwyciężyć miały. Srogie one męki któreście dla Chrystusa ponieśli i tak sromotne a długie więzienie, niczemże jest u nas w porównaniu z temi czułemi ludźmi świeckich słowami, którzy nic o życiu pozagrobowem nie wiedząc, do nieprzyzwoitego zaprzaństwa pobudzają. I cóż ma ten żywot nędzny tak smacznego, coby nas od używania roskoszy niebieskiéj w Chrystusie Panu naszym odwabić mogło? O! gdyby ci wasi krewni tą światłością byli od Boga objaśnieni co wy, pewnieby za wami poszli, a do téj wam drogi nie przeszkadzali. Pamiętajcie na to co Chrystus powiedział: „Kto więcéj miłuje ojca, matkę, syna, córkę, niżeli mnie, nie jest mnie godnym. Kto się mnie zaprze przed ludźmi, ja się go przed ojcem moim i aniołami jego zaprę.” Nie bądźcież tak szaleni, abyście duchem począwszy, ciałem kończyli. Daj Boże, mnie przed wami za Pana mego krew przelać, żebyście na moje męczeństwo patrzyli, by moja śmierć do podobnegoż czynu was pobudziła. Gdy to Sebastjan mówił, taka anielska światłość z twarzy jego błyszczała, iż musieli się zdumieć wszyscy obecni poganie. Zoe, żona Nikostrata dozorcy więzienia od sześciu lat niema, rzuciła się do nóg bohatérskiego żołnierza, i zawołała że wierzy w Chrystusa. Nikostrat widząc co się dzieje, sam także zostaje chrześcijaninem. Niedość na tém: Frankwilus ojciec Marka i Marcelina, matka ich Marcja i 64 innych osób, chrzest święty przyjmują; radość i wesele niedoopisania.

Niedługo potém Markus i Marcelinus skonali przybici gwoździmi do drzewa; Zoe, Polikarp najlepszy przyjaciel Sebastjana i inni jego znajomi różnéj płci, również okrutnie pomordowani zostali.

Nareszcie i na Sebastjana przyszła kolej.

Pewnego razu Cezar Maxymiljan zwołał do siebie najpoufalsze osoby, i w gniewie wyrzucał Fulwijuszowi że jest niedbałym, że ochrania chrześcjan, że niewynajduje ich siedzib, a oni coraz więcéj się rozmnażają, tak iż nawet ten wzrost ich nagły zagrażać się zdaje podstawom państwa. Fulwijusz, uniżony i przebiegły doradca, wysłuchawszy z pokorą obelgi, skłonił się aż do saméj ziemi i rzekł:

— Boski monarcho! nie obwiniaj mnie o brak chęci i o niedbalstwo w służeniu tobie. Ważne odkrycie spowodowało, żem mniéj musiał przez jakiś czas zajmować się śledzeniem ludu, bo oto—o zgrozo! — pod twojém okiem, pod twém świętém obliczém, znajduje się człowiek, którego ty nadziemski Maxymiljanie darzysz swą łaską i swojém zaufaniem, a on niestety oddawna jest chrześcjaninem.

— Kto jest tym śmiałkiem!

— Rotmistrz Sebastjan.

— Kłamiesz nieszczęsny! jak śmiesz go obwiniać, ubliżasz mu!.. Sebastjanie, Fulwijusz honor twój szarpie; oddaję ci go w moc, zdejm mu za to głowę.

— Nie cesarzu! Fulwijusz prawdę powiedział, jestem chrześcjaninem!

— Szalony! tyżbyś mnie zdradzał, tyżbyś się odważył? pomyśl co mówisz... Sebastjanie, niebezpieczne to żarty.

— Maxymiljanie, ja nie żartuję. Powiedziałem prawdę -- jestem chrześcjaninem. Rób ze mną co chcesz, a ja do końca życia wiernym Chrystusa nauce zostanę. Nie zdradzałem cię nigdy, bo i ho-

nor i religija moja tego mi zakazują. Ktokolwiek cesarzu śmiałby się targnąć na twą osobę, na całość państwa, ja pierwszy piersi za ciebie nadstawię, ale prawego Boga się nie zaprę. I pamiętaj, że wtedy byłbyś najbezpieczniejszym, gdybyś się samymi tylko otoczył chrześcjanami. Jako wierny twój sługa i przyjaciel, nic ci lepszego radzić nie mogę nad poznanie nauki Jezusa z Nazaret i przyjęcie Chrztu.

— Nędzniku! wołał Maksymijan, podła gadzino! śmiesz mi w oczy.... ty... Bierzcie go! hej Nikostracie, bierz go do więzienia, na śmierć!

— I ja wierzę w Chrystusa, odrzekł Nikostrat.

— I ty.... dobrze — śmierć wam! Hifaksie, oddaję ci Sebastjana na noc. Jutro o świcie twoja maurytańska jazda niech strzela do niego z łuków; tylko powoli, powoli, — pastwcie się nad nim, ale żeby nikt nie widział.

Przez całą noc Sebastjan trzymany był pod ścisłą strażą. Nazajutrz rano, zaledwie słońce wspinać się zaczęło na niebo, wyprowadzono go na przytykający do pałacu dziedziniec, który przedzielał kwaterę afrykańskich łuczników od jego własnego pomieszkania. Dziedziniec ten zasadzony drzewami, był poświęcony bożkowi Adonisowi. Obnażono go i przywiązano do jednego drzewa, gdy tymczasem wybrani Maurytanie napięli łuki. Sebastjan stał z wypogodzoną twarzą; a przecież była to śmierć bez wszelkiéj pociechy. Nie było przy nim żadnego przyjaciela, żadnego litościwego serca, żadnego chrześcijanina, któryby mógł zanieść wiernym jego ostatnie pożegnanie i być świadkiem jego stałości. Stać na środku amfiteatru przepełnionego widzami w obec stu tysięcy osób, widzieć zagrzewające spojrzenia wielu i słyszeć ciche błogosławieństwa kochających serc, to wszystko mogło zachęcić, a nawet prawie zapał wzbudzić. Ale tu, scena była niema i martwa. Z pierwszym dnia brzaskiem, w zamkniętym dziedzińcu, skrępowano go jak niewinnego baranka, jak kruchą wiązkę siana. Świadkami jego bohaterstwa byli krwawi oprawcy i to słońce, co tak radośnie ozłacając lazury, stroiło mu promieniami głowę. Cisza, głęboka cisza, panowała wszędzie, bo ani gwar przebudzonego miasta, ani świergot wesołego ptastwa, ani plusk łodzi na Tybrze, nie przerywał uroczystéj i bolesnéj chwili. Czasem tylko doleciał z krat kolizeum, dziki, podziemny ryk lwa lub tygrysa — z resztą ponuro i głucho. Nakoniec Hifaks komenderuje, i jedna strzała drżąc, ugrzęzła w ręce Sebastjana. Po téj druga utkwiła w nodze, inna w boku, w ramieniu, w szyi i t. p. Tak poranionego ale niezabitego, odeszli i zostawili siepacze sądząc, że w żaden sposób żyć już długo nie będzie i że niebawem skona. Tymczasem jedna pobożna Rzymianka, po długich namowach i prośbach, wzięła ciało Świętego do siebie, a starając się z całą usilnością i poświęceniem, sprawiła to, że Sebastjan wkrótce odzyskał siły i nawet zupełnie przyszedł do zdrowia. Radzono mu aby uchodził z Rzymu, ale nie chciał tego uczynić, bo męczeństwo za wiarę Chrystusa uważał jako szczyt swoich pragnień na ziemi. Otrzymał czego żądał. Gdy bowiem cezar Maxymiljan raz go niespodzianie zobaczył, zląkł się sądząc, że ducha Sebastjanowego przed sobą widzi; ale wkrótce się opamiętawszy w taką wpadł wściekłość, że maczugami i kijmi, na miejscu go zabić kazał. Kościół Rzymsko-Katolicki pamiątkę Świętego Sebastjana obchodzi dnia 20 Stycznia.

Franciszek Gunowski.

SUKCESSOROWIE,

Opowiadanie garbuska,

(*Dokończenie*—Patrz Nr. 1, 2 i 3.)

Prawie nie podobna mi opisać wszystkich szczegółów wspólnego zarządu przez te kilka dni: zdawałoby się że to nieprawda, jednak zaręczam patrzyłem na to własnemi oczyma i śmiałem się jak cała wieś się śmiała, a nawet sami zapaśnicy. Nie sypiano po nocach pilnując się wzajemnie, dokuczano jeden drugiemu, a wszystko co żyło brało udział w téj kłótni i swarach. O najmniejszą rzecz, o drzewo na opał, o śmietankę nawet, o nabożeństwo za duszę zmarłego, targowano się do ostatka. Ja tu pan, i ja pan, ja połowy, a ja czwartéj części, a Łasicki w dogryzkach był niewyczerpany, i tem właśnie zwyciężał przeciwników.

Nareszcie dziesiątego dnia po śmierci stryja, pokazał się na drodze powóz zaprzężony w cztery konie rzędem, daléj bryka z budą obita płótnem, daléj stado koni tabunowych, — a cała kalwakata wjechała na dziedziniec. To jeszcze sukcessor brat pani Łasickiéj Imci pan Jan Dołowski z Ukrainy. Powóz zatrzymał się przed gankiem, wyskoczył zeń może 50-letni mężczyzna, rosły, barczysty, już szpakowaty, z gęstemi wąsami i nastroszoną czupryną, — ubrany w lisiurę z szaraczkowem pokryciem, butach palonych — ot wyglądał na pierwszy rzut oka jakby dawny wojskowy.

Wyskoczył z powozu i plackiem na ziemię.

Myśmy struchleli sądząc, że zemdlał. On zaś ze łzami w oczach ucałował błoto, i podnosząc się zawołał:

— Witam cię ziemio kochana! całuję ślady stóp twoich szlachetny stryju!!

— Żeś testamentu nie napisał — wtrąca Łasicki, otóż to poeta z Ukrainy...

Spojrzał się bystro na niego siwemi oczkami Dołowski, a wysadziwszy żonę uściskał wszystkich z taką serdecznością, że omal nie podusił.

— Wiesz mały—rzecze do mnie Łasicki, odprowadzając na bok — nie przybliżaj się do niego, to żmija Ukraińska ze stepów. Widzisz, leśniczy powozem jedzie z tabunem, służył uczciwie nie ma co mówić, byłem ja u niego, cztery kroć dusi w tych kufrach, wiem zaoszczędził z pensyjki gajowego..... A chciwiec, sknera...

Pan Jan płakał do samego wieczora, — oglądał wszystkie przedmioty po stryju pozostałe, całował i płakał.

— Mój Boże czemuż ja wprzód nieprzyjechał panie łaskawy? A pisał stryj, Jasiu — a mówił to wszystko z deklamacją — Jasiu przyjeżdżaj, trzeba żebyś przyjechał, a nawet dobrze żebyś przyjechał. O ja nieszczęśliwy, ja wiem co to znaczyło: „*a nawet dobrze żebyś przyjechał*”; już go nie ma, tego drogiego szlachetnego opiekuna, dobroczyńcy mego. Mój łaskawy Boże jak tu roskosznie by było, jaki tu kraj uroczy, jaka błogość w rodzinnéj stronie?!.....

— Tylko poddanych chłopów nie ma, czumaków nie ma, mówię ci bracie Janie, kiepskie wolęta mają... wtrącił Łasicki.

On bo już niemógł nikomu przepuścić, taką miał złośliwą naturę — Lecz wkrótce pokazałsię, że miał racją: na drugi dzień pan Jan ukono

czywszy żale, jakby nigdy nic odrazu ustanowił się nieograniczonym panem. Klucze, regestra, papiéry, ruchomości wziął pod swoją opiekę. Sukcesorowie opuścili uszy: Pan Jan miał tak ostre spojrzenie, brwi jak szczotki, iż spojrzał tylko, a wszystko słuchało. Odcinał się wprawdzie Łasicki, lecz żona z płaczem go mitygowała:

— Mężu, kochanie, słuchaj brata dobrodzieja; my biédni naprzeciw niego — my nędzarze, on nie ma dzieci.

— Myślisz że co dostaniesz po nim? —Cha, cha, cha! przysięgam ci daj mu 3 grosze weźmie od ciebie, weźmie i ślady stóp swoich całować będzie, jak całował błoto przed dworem. On na śmiertelnem łożu pozjada listy zastawne, zobaczysz jeżeli się wprzód niezagryzie.

Nie ma co mówić, wziął wszystko w ręce i każdemu udzielił co mu się podobało. Za parę dni już stanął na cmentarzu pomnik dla stryja, postawił go swoim kosztem, sprowadził Rejenta do spisu inwentarza i zaczął się targować o kupno sched pozostałych.

— Kto to jest ten garbaty? — zapytał raz ciotki przy obiedzie—pokazując na mnie.

— Sierota, krewny bliski żony nieboszczyka kassjera, jego wychowaniec.

— Ach paniczu,—mówi do mnie—cóż ty tu robiłeś?

— Pomagałem stryjowi w gospodarstwie, pisałem regestra.

— Dobrze, dobrze, pomożesz panu Rejentowi przy spisie, objaśnisz rachunki... nie bój się dostaniesz wynagrodzenie.

— Ale mój Jasiu—wtrąciła ciotka Pelagja—wypadałoby i o nim nie zapomnieć, to sierota, kaléka.

Ruszył wąsami Dołowski, potarł czuprynę, myślał, myślał... i wziął się do jedzenia.

— Potrafisz służyć, a wiernie?—spytał po chwili.

— Wątpię, odrzekła za mnie ciotka: że wierny o tem zaręczam, ale jest słabowity.

— No, to cóż na to poradzić łaskawco...

— Możebyśmy się złożyli.

— Nie zabraniam, nie zabraniam: dobre serce zawsze się ceni, ale ja nic nie mam. Wszystko czem mię Najwyższy Stwórca obdarzył, pracy rąk swoich winienem, mam obowiązki.

— Kassjer go bardzo lubił... wychował go.

— Szlachetny stryju, któż ci dorówna! Gdzież ciotko kochana mierzyć się mnie biednemu robakowi z jego rozumem! Dał mu wychowanie, dał mu wszystko....

Jakkolwiek przygnębiona ze mnie istota, jednak poczułem w sobie niejaką ambicję, zadraśnięto moją miłość własną, więc zaczerwieniony po uszy, rzekłem z pokorą:

— Stryj dobrodziéj rzeczywiście dał mi wszystko, daruje ciotka kochana, ale ja niczego nie potrzebuję i od państwa nic nie przyjmę.

— Brawo!—zawołał z energją Dołowski—to mi zuch, krew szlachecka; tak młodzieńcze, najlepiéj rachować na swoje ręce, ja tak robiłem zawsze: własna praca wzbogaca...

Nie mogłem tego o mówiącym pomyśleć, raz że właśnie brał spadek po stryju, drugi raz że służąc za oficyalistę lat 20 nawet, nie można czy dziś czy kiedybądź kroci uzbierać. Lecz nie odzywałem się z tem zdaniem przed nikim, a pobiegłem do Berka o radę w tak niespodziewaném zdarzeniu. On był dla mnie zawsze przychylnym, sądziłem przeto, że i teraz znajdzie dla mnie w którym z okolicznych dworów pomieszczenie.

Lecz niestety Berek z podróży swéj jeszcze niepowrócił, a jak żona mię zapewniała, dowiedziawszysię w drodze o śmierci kassjera, pojechał wprost do Warszawy.

Tymczasem położenie moje stawało się coraz przykrzejsze; — pan Dołowski wcale na mnie nie zważał, a nawet dał do zrozumienia żebym sobie poszedł gdzie z Bogiem; ciotka znów namawiała aby zostać do ukończenia interessów, obiecując wziąść z sobą jeżeli schedę jéj Dołowski kupi, co było prawie skończone.—Z tego więc tytułu rozrządzał się już jako zupełny właściciel: z charapnikiem w ręku cały dzień na koniu, męczył biednych robotników czego przedtem nie bywało, gdyż stryj nieboszczyk jakkolwiek nie cierpiał próżniactwa, jednak na pracę ludzką był wyrozumiały.

Spis inwentarza pozostałości, postępował zwolna: Dołowski wyszpérał w rachunkach różne wydatki czynione na utrzymanie rodziny pani Pelagji, i to wszystko na jéj schedę policzył; nie przepuścił grosza. I Łasickim się dostało za swoje: stare ubranie, które kassjer czasami dla dzieci im posyłał, zostało porachowane i wydatki na mnie niepokoiły jego finansową głowę; szczęście tylko dla mnie że nie brałem sukcessji, nie było więc z czego potrącać.

Nareszcie, odkryto w papierach po stryju dowód Bankowy na 15,000 rs.— Radość niezmierna opanowała wszystkich: Dołowski zwykle pochmurny i milczący jak step Ukrainy, niemógł już ukryć swojéj radości: „Szlachetny stryju świętéj i nieskalanéj pamięci! i tuś sobie ujmował, aby zapewnić nam nędzarzom wygodniejsze życie. Panowie!—mówił obracając się do wszystkich, bo było to przy obiedzie — znaleść coś wspanialszego nad duszę wuja nieboszczyka!?—Wawrzeniec, mówił patrzac się ku mnie—ostatnim będę, jeżeli ci po odebraniu téj gotówki, dwustu złotych nie wypłacę.

— Dziękuję bardzo panu za jego łaskę — odrzekłem znowu—lecz od niego nic nie przyjmę.

— Tak ci się zdaje dziś mój młody przyjacielu, ale by się przydały, bez dwustu złotych tysiąca nie będzie, a ja z tém zacząłem. Pamiętam pierwszą parę wołów jaką na czumaczkę kupiłem: czerwony łysy z wspaniałym rogiem, wyglądał jak król na stepie. Z pierwszéj podróży nie wracał, ja niespokojny wyglądam owéj soli z Krymu, nie ma i nie ma; jadę parę mil konno, nie ma panie łaskawy,—rozpytuję ludzi: wół taki a taki łysy, głowa do góry, rogi jak gałęzie. Ot panoczku był na przewozie, idzie.—Co to znaczy panowie ładny? co to znaczy czumaczka? Piętnaście par potem chodziło rok po roku po rybę, sól lub ze zbożem.....

— A czemże pan Jan żywił taką gromadę—spytał Abramski:

— Czem? sianem panie łaskawy:—miało się znajomych ekonomów w skarbie hrabiego, ten wziął parę ten parę, a w takiéj gromadzie co to znaczyło.... A miałem 60-ciu gajowwych pod sobą, w lasach nazbierali siana, ot żyła stadnina, a człowiek grosz do grosza, złoty do złotego i zebrało się dość na stare lata. A ja też drogo nie kupowałem: na jarmarku są woły takie i takie; wiedziałem gdzie kupić panie łaskawy—z miny poznasz jak mu patrzy.

— Co za wołu?—pytam.

— Szesnaście całkowych.

— Ot—myślę krzywo idzie—wół dwa razy tyle wart, więc panie łaskawy dam 10 i trzy pudy mąki... On kręci, ja dobijam targu. Bratku pytam po wszystkiem: a w którą stronę iść z nim?

— Bratku wszędzie, tylko na wschód słońca nie posyłajcie...

— Jużem w domu: i wołu mach mach z czerwonego, czarnego się robi za pomocą brazylji i wół inny panie łaskawy. Tak to tak panie Wawrzusiu niczem się nie pogardzało; nie tak jak ty, wszystko można aby uczciwie panie, aby mieć czyste sumienie jak ja....

Gdy sobie tak rozohocony Dołowski rozprawia o czumaczce, zda mi się spojrzeć oknem, a tu stary proboszcz wraz z Berkiem zdąża ku dworowi. Laska jego naprzód, kapelusz przekręcony, chustka w drugiéj ręce jak sztandar, a przy niéj biały papiér. Idzie i kiwa głową, że Berek ledwo za nim może wydążyć.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus?

— Na wieki wieków—odpowiadają wszyscy, byli bowiem owemi stoma tysiącami bardzo rozczuleni, a zatem i grzeczniejsi dla proboszcza...

Berek blady, zmartwiony, jak cień wsunął się zanim. Ach Berku, Berku!—zawołała pani Pelajga —witając czule pachciarza— naszego kassjera nie ma! I łzy jéj puściły się z oczu, a Berkowi lały się po brodzie, tak biedny płakał, nie mogąc słowa przemówić.

— Cóż tu kochanego kanonika sprowadziło?—zapytał Dołowski prosząc go siedzieć.

— Ach chciałem naszego kollatora nowego powitać—odrzekł starowina, kłaniając się z miną uśmiechniętą.

— I kollator! — rzekła pani Pelagja pokazując na Dołowskiego — jużeśmy skończyli — a ciężkie westchnienie wyrwało jéj się z piersi.

Dołowski powstał prostując się poważnie, proboszcz nie ruszył się z miejsca.

— Et pani dobrodziejko Bóg najwyższy daje kollatora, Bóg bierze, niech będzie Jego święta wola... Każden mi dobry, aby był po Bogu pani dobrodziejko, po Bogu...

— Alboż mnie kanonik....

— Panie Dołowski nie kanonik ja nie, tylko mizerny proboszcz sługa Boży....

— No to cóż proboszcz na przeciw mnie powiész?

— Nic panie łaskawy, ale to prawdziwie nic...

— Więc podajmy sobie ręce jako starzy znajomi, a teraz przyjaciele. Nie bój się proboszczu, mam dobre krymskie winko, w marjasza na stepach nie zapomniałem....

Lecz proboszcz nie podał ręki, a powstawszy z krzesła, posunął się ku mnie, pochwycił za obie ręce i całując nieustannie w głowę mówił prędko:

— Witam cię mój kollatorku kochany, witam dobre dziecko! Bóg wielki, Bóg wié co komu należy.

Ja struchlałem; ogień oblał mi twarz całą: a wszyscy siedząc przy obiedzie skamienieli, i co kto trzymał w ręku lub ustach z tém nieruchomie przez kilka chwil pozostał.

— Proboszcz zwarjowałeś! —krzyknął powstając nagle Dołowski, a blady był jak ściana, a z oczu tryskał mu ogień przestrachu.

— Mój mości dobrodzieju — rzeknie powoli proboszcz zażywając tabakę—tacy starzy ludzie jak ja nie waryjują—ot jest testament nieboszczyka, czytajcie.

— To fałsz!—woła przybiegając Abramski.

— Ależ to panie prawdziwy testament, to nie ten ze stodoły...

Cały drżący Dołowski porwał z rąk księdza trzymany papier i przebiegł szybko oczyma:

— Tfu!—głupiec choć wuj mój!—zawołał z całą wściekłością rzucając o ziemię testament. I wybiegł bez czapki z pokoju.

Papier pochwycił Abramski tak gwałtownie, że omal nie podarł, zwłaszcza że i Łasicki nadziawszy okulary ciągnął ku sobie.

— Powoli panowie, nie drzyjcie! to nie oryginał—rzecze proboszcz do Abramskiego. Tamten w Warszawie u rejenta, nic nie pomoże choć wasan podrze, wyjmiemy drugi.

— Czytaj sobie Łasicki czytaj te banialuki — powiada oddając papier, będziesz miał o czém pisać w swojéj księdze...

Wziął tedy Łasicki z powagą i od deski do deski przeczytał głośno. Mnie serce tak gwałtownie biło, w głowie taki miałem zamęt a ciemno przed oczami, że tylko wypisuję tu treść jego, to żywcem z kopji urzędowéj.

Pominąwszy protokół otwarcia testamentu przez prezesa trybunału zrobiony, tudzież protokół składu przed rejentem przez nieboszczyka stryja podpisany, testament sam brzmi:

— W Imię Ojca i Syna i Ducha Ś-go Amen.

— Majątek mój składa się z dóbr Zielonki obciążonéj pożyczką Towarzystwa Kredytowego i z kapitału 15,000 rs. ulokowanego w Banku Polskim. Dla uniknienia więc sporów między krewnemi moimi po méj śmierci, mieć chcę i majątkiem tym dysponuję, w ten sposób: że dobra Zielonkę wraz z inwentarzem żywym i martwym tudzież wszelkiemi zapasami jakie w chwili méj śmierci zostaną, zapisuję siostrzeńcowi nieboszczki méj żony, Wawrzeńcowi Sikorskiemu na zupełną i bezwarunkową własność z warunkiem:

1. aby siostrze méj ciotecznéj Pelagji Zaleskiéj płacił corocznie aż do jéj śmierci po rs. 300, dał jéj mieszkanie w domku przy kościele, ogród i drzewo na opał.

2. aby płacił corocznie wiecznemi czasy on i jego następcy po rs. 30 proboszczom parafji Zielonka, za odprawienie nabożeństwa za dusze moją i familji corocznie w dniu 19 Marca.

3. aby połowę ruchomości we dworze pozostałych oddał służącym podług swego wyboru, a drugą połowę siostrzenicy mojéj Katarzynie Łasickiéj.

4. kassę ogniotrwałą, niech wyda na pamiątkę Janowi Dołowskiemu siostrzeńcowi memu, ona dla niego tylko będzie najprzydatniejszą.

5. szkatułkę zaś małą z moją cyfrą z różnemi drobiazgami kobiecemi po mojéj żonie i córce pozostałemi, Konstancji Abramowskiéj.

Co do kapitału 15,000 rs. lokowanego w Banku tém obdzielam familję moją w ten sposób:

a) dla Pelagji Zaleskiéj rs. 4,500.

b) dla Katarzyny Łasickiéj rs. 4,500.

c) dla trzech synów Pelagji, Jana, Karola i Zygmunta po 750 rs., razem 2,250, niech pracują na siebie, a z tém i z edukacją którą im dałem, mogą się czegoś dorobić.

d) czterem córkom Pelagji: Konstancji, Józefie, Teofili i Anieli także po 750 rs., razem 3,000.

e) pozostałe zaś 750 przeznaczam na koszta po-

grzebu i inne do dyspozycji bez rachunku Wawrzeńca Sikorskiego.

Taka jest ostatnia moja wola; proszę zatém JM. księdza Tadeusza Kułakowskiego proboszcza z Zielonki, aby dopilnować raczył wykonania niniejszego testamentu, i na którego wkładam chrześcijański obowiązek opieki nad moim Wawrzusiem, aby się na uczciwego, bogobojnego i zacnego obywatela kraju wykierował.

Pisałem zdrów zupełnie na ciele i umyśle w Warszawie dnia 17 Kwietnia 1846 roku: Józef Podlewski, emeryt były kasjer.

Kodycyll ponieważ Berek Paszer pachciarz z Zielonki nie chciał przyjąć żadnego zapisu pieniężnego odemnie, a służąc najwierniéj lat 25, był prawdziwym przyjacielem a nie sługą, przeto Wawrzeniec Sikorski mój sukcessor jak wyżéj, odda mu na zupełną własność dom który Berek zajmuje wraz z 15-o morgami gruntu, żeby w tém było 5 morgów lasu i trochę łąki. Niech go trzyma za pachciarza dokąd będzie mógł i szanuje jak ojca, bo to uczciwy i rozumny człowiek choć nie posiada nauki i za jego to poradą testament ten ułożyłem. Kiedy wszyscy biedną sierotą i kaleką poniewierali, on urządził wszystko tak, iż mogłem przekonać się o szlachetném sercu Wawrzyńca.

Warszawa dnia 17 Kwietnia 1846 r. Józef Podlewski.

— Doprawdy że to jest komedja! rzekł Łasicki zdejmując okulary — no winszuję ci młody przyjacielu takiego szczęścia...... Warto opisać do mojéj księgi i do gazet warto... Cha, cha, cha, patrzcie jak lata Janek po dziedzińcu bez czapki, biedak dostanie kataru... cha, cha, cha!.... Dajże mu tę szafę ogniotrwałą, wujaszek kassjer dowcipny.... A teraz mój dziedzicu ja ci wszystko wypiszę co oni tu nakradli; mam wynotowane pod Nr. 1...... a że ruchomości w połowie moje, panie Abramski mówię ci dobrowolnie oddaj: zegarek, palto watowane, tuzin nowych koszul.........

Nie słuchałem tego wszystkiego, bo tak szczęśliwa nowość w mojem położeniu, zupełnie mi odebrała swobodę myślenia. Nie ulegało wątpliwości, zostałem niespodzianie, niezasłużenie dziedzicem Zielonki. A tu w domu znów haos, smutek i zawód, czułem, że jestem jeszcze bardziej samotny, że ciężar mi na moje siły.

Ciotka zaczęła się wyprowadzać, była obrażoną srodze testamentem stryja. Upadłem jéj do nóg, prosząc, aby jak dawniéj, zarządzała wszystkiem. Nie i nie — nawet twojego domku nie żądam, wyprowadzam się natychmiast, niech oczy moje więcéj Zielonki nie widzą. Mój Boże! za tyle lat pracy.... miałam przeczucie, że to powinszowanie zgubiło nas ze wszystkiem... A i Berek! Berek! zdrajca, to jego rady....

Abramski najprzód drapnął, z obawy, abym się nie upominał o zabrane rzeczy... Dołowski przez trzy dni nie pokazał się wcale, choć jego stadnina bujała swobodnie po zbożach, — nareszcie, począł się wybierać— zajechał powóz, wyprowadzono bryki, a do mnie oddano list następujący:

Szanowny Panie!

Wydarłeś nam sukcessyę niesłusznie i niesprawiedliwie; wuj nieboszczyk widocznie przed śmiercią zniedołężniał i postąpił z nami najniegodziwiéj, czego mu Bóg na swym sądzie niezapomni. Spodziewam się przeto, że nie mam za co obdarzać go pomnikiem, który swym kosztem już na cmentarzu postawiłem, dla tego wypadałoby mi zwrócić 60 rubli które na to wydałem, a które do Pana jako głównego sukcessora należą i o które proszę.

Sługa Jan Dołowski.

A może Pan kupi odemnie kilka koni, które z Ukrainy przyprowadziłem; są młode, zdrowe i kłamstwem jest jak Tomasz karbowy mówi, aby miały mieć nogi zforsowane daję na to słowo honoru. Nie drogo będę żądał i radzę kupić bo tu są potrzebne. Proszę więc obejrzyć. O szafę ogniotrwałą proszę.

Dołowski.

Łasicki, który był przy czytaniu listu, śmiał się jak opętany. Mój drogi nie płać, proszę cię na wszystko nie płać, niech sobie pomnik zabierze. A Judasz, całował błoto hę? Stryj mu już niegodziwy a jednakże on go wychował. I cóż, i cóż braciszku wydawać te imperyały, któreś dotąd tylko mył co sobota. Dalibóg mył szczoteczką i mydłem z wodą, widziałem.

Niechcąc aby w takich nawet ustach jak Dołowskiego został wyraz niechęci dla szlachetnego mego dobroczyńcy, oddałem pieniądze i szafę, za konie podziękowałem. Nareszcie jedyny życzliwy Łasicki opuscił Zielonkę, spiesząc do Warszawy po odbiór sukcessyi.

Ja tu kiedy zajrzę do ciebie Panie Wawrzeniec. Dasz mi mleka kwaśnego z kartoflami i słoninki nie pożałujesz, pamiętaj!—tygielek odebrałem od Pelagji. A teraz proszę cię każ mi wyreperować te malutkie saneczki co tam stoją, nad oborą, okrutnie lubię sam się powozić jednym konikiem tyle tylko żądam!

Przyrzekłem wszystko—i pożegnałem serdecznie starego dziwaka, który z książką pod pachą, powędrował na piechotę do Warszawy. Żonę i dzieci kazałem odwieźć.

Zostałem tedy sam jeden w tym wielkim dworze i smutno mi, choć mam dobra ziemskie, choć pracą uczciwą chcę sobie na dobre imię zasłużyć, aby i Bóg w Niebiesiech i stryj kochany byli z méj pracy kontenci. A w wolnych chwilach spisuję sobie różne wypadki życia, i oto niniejszy wyjątek tą drogą przychodzi kochani bracia biedacy do wiadomości waszéj.

Ciężkie i zimne to dziś czasy! Nieszczęście i nędza głuszą wielkie dobre popędy. Każdy o sobie tylko i dla siebie; jednakże są jeszcze serca, co i o drugich myślą zapominają nawet o sobie, a praca, sprawiedliwość i poczciwość, często już na tym świecie znajdują swą nagrodę— ten zaś kto przy tém wszystkiem dostatków się nie dorobi, temu pozostaje czyste sumienie i trwała pociecha spełnionego obowiązku.

Opowiadanie podróżnika o stonogu i niedźwiadku.

W wilgotnych, błotnistych miejscach, pod korą drzewną, w mchu, w piwnicach i podziemiach, często widzieć można małe żyjątka, które prędko biegają za pomocą niezliczonéj ilości nóg. Są to tak zwane stonogi. Stonogi nie należą do właściwych owadów, ale do rodziny krabów czyli raków. Owady bowiem mają sześć nóg i tém się też one głównie odróżniają, przeciwnie stonogi, mają od 16 nóg (8 par) do 40, a nawet 80 nóg.

W umiarkowanym naszym klimacie stonogi zupełnie nie są szkodliwe; nie są one w stanie zarazić swym jadem człowieka, a żyją tylko istotami gnijącemi i najdrobniejszemi owadami. Lecz w gorących, południowych krajach znajdują się ogromne stonogi, których ukąszenie jest niebezpieczne. Podróżni opowiadają wiele wypadków, gdy stonogi wpełzały się pod odzież śpiących ludzi i wpijały się w ich

ciało. W indyjsko-angielskich posiadłościach (w Indjach Wschodnich), mianowicie na brzegach rzek i na nie wielkich wyspach, jest bardzo dużo rozmaitych jadowitych gadów i płazów, a między innemi i stonogów, które bardzo często napastują podróżnych i marynarzy okrętów, zatrzymujących się w indyjskich portach. Oto co opowiada o stonogu pewien podróżny:

„Po długiém i uciążliwém pływaniu po burzliwych falach zatoki Bengalskiéj, okręt nasz zatrzymał się w niewielkiéj zatoce wyspy Santora. Zdaleka już ujrzeliśmy tę wyspę i byliśmy nią zachwyceni. Przez cały tydzień niceśmy nie widzieli, prócz Nieba i burzliwego morza, a teraz wesoło nam było pomyśleć, że wreszcie wysiądziemy na ląd i odpoczniemy pod gęstym cieniem wysokich południowych drzew. Jak tylko okręt nasz przybił do brzegu, natychmiast kilku majtków i oficerów, a w téj liczbie młody podróżny nazwiskiem Sibret, wysiedli na brzeg, ażeby zwiedzić wyspę i jeżeli można, popolować na niéj.

Wyspa, która zdaleka zdawała nam się pokrytą wielkiemi drzewami, była rzeczywiście tylko błotnistą równiną, porosłą krzewami i karłowatemi drzewy. Dzicy, mieszkańcy tutejsi, powiadali, że w lasach wyspy ukrywa się mnóstwo tygrysów, a w krzakach syczą żmije i stonogi. Ale marynarze koniecznie chcieli zwiédzić wyspę i nie ulękli się tygrysów, wężów i stonogów. Z piosnką i śmiechem rozbiegli się po wyspie nie zbliżając się jednak do gąszczy, gdzie się mogły ukrywać tygrysy. Zresztą wcale im niebezpieczeństwo nie było w głowie.

Wtém rozległ się tak okropny ryk tygrysa, że marynarze pomimowoli zadrżeli. Porwali za rusznice, lecz tygrys nie pokazywał się i powoli wszystko się uspokoiło, ale w zamięszaniu Sibret tak upadł i uderzył się, że nie mógł się nawet podnieść z ziemi. Dwaj towarzysze odnieśli go do czółna i położywszy go na brzegu morza, pozostali przy nim.

Przez cały dzień chodzili żeglarze po wyspie, i dopiéro wieczór wrócili do tego miejsca, kędy oczekiwał na nich Sibret. Leżał jeden pod drzewem i spał twardo, dwaj zaś towarzysze będący przy nim, gdzieś odeszli.

Zdziwiło to żeglarzy; już chcieli rozbudzić śpiącego, gdy jeden majtek idący na przedzie, wstrzymał swoich towarzyszy.

— Stójcie, ani kroku naprzód, bo on zginie, zawołał majtek; patrzcie, żmija okręciła się około jego głowy!..

Marynarze spójrzeli na śpiącego Sibreta i zadrżeli: długa, czarna żmija okręciła się na około szyi Sibreta, tak, że głowa jéj znajdowała się jak raz nad twarzą młodzieńca. Towarzysze jego nie wiedzieli co robić; rozbudzić go, to jedno było co zgubić na pewno; wówczas bowiem poruszyłby się niespodzianie, a żmija natychmiast by go ukąsiła. Długo stali marynarze nie wiedząc co począć, poglądając na twarz swego śpiącego towarzysza. W tém Sibret poruszył ręką. Ruch ten był zaledwie widzialny, ale przynajmniéj przekonał towarzyszów jego, że jeszcze żyje i że trzeba tylko ostróżnie wybawić go od niebezpieczeństwa, w którém się znajdował.

Jeden z majtków, wymyślił wreszcie sposób złowienia żmji. Zrobił ze sznura petlę, zzuł buty i ostróżnie wlazł na drzewo, pod którém spał Sibret. Usiadłszy na gałęziach, opuścił petlę na głowę gadu. Ujrzawszy powróz, żmija podjęła głowę i wytknęła żądło, potém poruszyła się naprzód i wsunęła głowę w petlę. Majtek prędko pociągnął k'sobie powróz, spodziewając się że i żmiję uchwyci; ale powrózześliznął się po ślizkiéj skórze żmii. Jakkolwiek zamiar majtka nie powiódł się, jednakowoż przestraszył on żmiję, która uciekła. Radośny okrzyk marynarzy zbudził Sibreta. Towarzysze zaczęli mu opowiadać jak szczęśliwie ocalił się od żmji, ale Sibret zawołał z największem przerażeniem: „nie; nie; oto ona, oto ona!"

I wsunąwszy rękę za suknie, począł rwać na sobie odzież, zapewniając, że cóś się rusza u niego pod sukniami. Jakoż rzeczywiście podczas snu, stonóg długi prawie na łokieć, wlazł mu za koszulę. Sibret porwał go ręką, ale w téj chwili stonóg zapuścił swoje niezliczone nogi w ciało nieszczęśliwego młodzieńca i tak mocno się weń wpił, że marynarze musieli porznąć stonoga w kawałki, gdyż oderwać go było niepodobieństwem.

Przez trzy lata potém leczyli Sibreta najbieglejsi lekarze, ale nie mógł się on zupełnie pozbyć ran, zadanych mu przez jadowitego stonoga."

Inny, niebezpieczny owad żyjący w krajach południowych, to niedźwiadek, którego czasem napotkać można w Krymie i na Kaukazie. Niedźwiadek, należy do rodzaju jadowitych pająków. Żyje owadami i małemi zwierzątkami, które porywa swemi silnemi kleszczami. Gdy niedźwiadek pędzi za łupem, to trzyma swój stawowaty ogon zagięty w górę lub na kark. Na tymto ogonie znajduje się jadowite żądło, którém niedźwiadek broni się i zabija nawet bardzo wielkie i silne zwierzęta.

Jad niedźwiadka działa również zabójczo i na człowieka. W razie ukąszenia przez niedźwiadka, nacierają ranę tłustością zmieszaną z samemiż niedźwiadkami i doświadczenie przekonało, że środek ten najskuteczniéj leczy takie rany.

Aby się ochronić od ukąszenia niedźwiadka, w krajach gorących podściełają pod siebie burkę, pilśń, skórę owczą, lub inne jakiekolwiek futro. Niedźwiadek bowiem nie może pełzać po takiém kosmatém posłaniu, albowiem natychmiast plącze się we włosach swemi haczykowatemi nogami.

Mścisław Kamiński.

KORRESPONDENCJA OD REDAKCJI
Opiekuna Domowego.



— *Pannie Julji ze Starego Miasta.* Zwyczaj powinszowań w dzień Nowego Roku, bardzo starożytnych sięga czasów. Wiemy, że znali go Rzymianie, a zapewnie i starożytniejszym jeszcze ludom nie był on obcy. Co do składania podarunków tego dnia, i ten zwyczaj odległych sięga czasów. Rzymianie posełali sobie na Nowy Rok figi, plastry miodu i t. p. rzeczy. Następnie do tych podarunków, poczęto przyłączać monetę miedzianą zwaną *stips.* W udzielaniu tych darów wkradło się zczasem nadużycie, a to tak dalece, że stały się one regularnym haraczem składanym rzymskim Imperatorom: Kto chciał czy nie chciał, musiał hojne znosić podarki do pałacu cesarskiego. W wiekach średnich w wielu krajach zakopywano rok stary, a nowy rok spotykano dopuszczając się najwyuzdańszych zbytków. Przyczém dopełniano rozmaite szaleństwa. Kościół surowo potępiał te pogańskie zwyczaje, które powoli znikły, lub przynajmniéj straciły pierwotną cechę.

— *Panu Onufremu Butowi, majstrowi z Podwala.* Pomiędzy gabinetem, a muzeum nie ma prawie żadnéj różnicy. U nas rozpowszechnił się wyraz *gabinet* jak: Zoologiczny, mineralogiczny itd. za granicą *muzeum* ma szersze zastósowanie. Jak jeden tak drugi oznaczają miejsce, w którém mieszczą się zbiory naukowe np. obrazów, zwierząt, skamieniałości i innych. Anatomiczne zatem muzeum jest to, w którém mieszczą się rozliczne narzędzia ciała ludzkiego, zwierzęcego i roślinnego nawet, bądź w całości, bądź rozłożone na części np. skielety, czaszki, nogi, wnętrza, układ płuc, gardła i t. d. Etnologiczne zaś muzeum jest takie, w którém skielety, czaszki i w ogóle wszystkie części ciała ludzkiego układane są według rass, na jakie dzieli się rodzaj ludzki, tak że zaraz z kształtu czaszek i rozwoju ust, bród i t. d. ujrzeć można różnice, jakie zachodzą między ciałami ludzkiemi rassy kaukazkiéj, murzyńskiéj i innych.

— *Panu.... z Kobyłkowa w Łomżyńskiem.* Dlaczego dajemy *czasami* poezje gdzieindziéj już drukowane — to objaśniliśmy już

w Nr 51 naszego pisma z r. z. Czytelnicy dla których pismo nasze jest przeznaczone, mało obznajmionymi są z klejnotami naszéj poezji, ceną przystępnemi tylko dla możnych ludzi, dla panów z Kobyłkowa i innych. Ale jeśliby pan z Kobyłkowa, zechciał łaskawie uwzględnić to przeznaczenie Opiekuna i rozglądnąwszy się w okół, poznał, że i obok niego są ludzie z pewną oświatą np. oficjaliści, którzy częstokroć dla braku środków nie mogą sprowadzać sobie pism z daleka, w takim razie z pewnością Pan z Kobyłkowa w miejsce przysyłania nam listów na koszt, zaprenumerowałby *Opiekuna* dla swych oficjalistów i ucieszyłby się szczerze widząc, że te przedruki arcydzieł *które jego znudziły*, przeszły w usta jego oficjalistów, wcieliłyby się między lud, jak to było gorącem życzeniem twórców tych pieśni. Ani bowiem Mickiewicz, ani Zaleski, ani Pol, ani Lenartowicz, niedążyli do *znudzenia* kogokolwiek, ale do ożywienia każdego i chyba tylko panowie z Kobyłkowa są tym smutnym wyjątkiem, dla których i słowa wieszczów są nudy powodem. W końcu upraszamy pana z Kobyłkowa i innych, aby listy nadsyłane do Redakcji frankować zechcieli, gdyż w przeciwnym razie, Redakcja nie z zasady ale z konieczności, zmuszoną będzie dawać tylko przedruki.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

I.

— *Wycieczki w świat daleki.* Pod powyżéj przytoczonym tytułem, wyszła książeczka przeznaczona dla młodzieży w Ostrowie, ale kiedy? nie wiadomo. Pan wydawca, nie wiemy z jakich przyczyn wypuścił tę książkę na świat bez metryki, jakby chciał ją wiecznie starą lub wiecznie młodą uczynić. Pomimo téj ostróżności, wątpimy jednak, aby potomność oceniła należycie tę prawdziwie ojcowską troskliwość pana *Priebatscha*, (tak się nazywa wydawca), bo jeżeli nie brak tłumaczonym tu i przerabianym podróżom interesu, to za to tłumacz ich okazał zupełną nieznajomość nie tylko stylistyki, ale nawet grammatyki. Jeżeli kiedykolwiek dziełko to doczeka się drugiego wydania, to radzimy przyszłemu wydawcy, aby dał wprzód komu przetłumaczyć na nowo z tego przekładu i lepszemi opatrzył drzeworytami, a niewątpliwie znajdzie lepszy pokup i większą sobie zjedna zasługę. Tymczasem nic więcéj nie możemy o téj książce powiedzieć jak tylko to, że jest interesującą ale nędznie napisaną.



Niedźwiadek.—(do str. 30).

II.

— *Gawędy Naukowe Apolinarego Zagórskiego.* Jakkolwiek książka ta wydaną została jeszcze w 1859 roku, przecież uważamy za obowiązek najmocniéj je naszym czytelnikom polecić. Dobre nigdy nie starzeje, a tém bardziéj jeżeli z dobrem piękne się połączy, co właśnie w pomienionych gawędach znajdujemy. Apolinary Zagórski był nie tylko miłośnikiem Przyrody, ale i poetą, nie tylko uczonym, ale i człowiekiem serca. Była to postać dziwnie sympatyczna, a zgon jego prawdziwy żal wywołał. Żył jednak bardzo krótko dla nauki i przyjaciół: urodził się 1830 r. a zmarł w Warszawie 22 Listopada 1858 r. Gawędy te wydane zostały po jego śmierci przez Kraszewskiego, który na kilkunastu stronicach skreślił pięknêm swem piórem zasługi i żywot zmarłego. Gawędy te są niezmiernie urozmaicone; autor przechodzi w nich od zwierzokrzewów do komet, od życia do telegrafów, od ciał kopalnych do termitów, od kanału Suezkiego do zjawisk powietrznych, słowem, dotyka najrozmaitszych przedmiotów, które z życiem, werwą, a przytem głęboką nauką umié przedstawić. Czytając to dzieło kto nie zna nauk przyrodniczych, będzie się starał je poznać, kto ich nie lubi, przyjdzie wreszcie do tego, że je całem sercem pokocha.

ROZMAITOŚCI.

PODSŁYSZANE GDZIE SIĘ ZDARZY.

(*Na rogu dwóch ulic.*)

JEGOMOŚĆ Z OGRYZKIEM CYGARA. Czy nie mógłbym pana prosić o ogień.

PAN Z LEDWIE ZACZĘTEM CYGAREM (*krzywiąc się z niechęcią.*) Służę.

WŁAŚCICIEL OGRYZKA. Ach! jakież to cudowne pańskie cygaro! prawdziwe hawańskie, szkoda panie na rozpałkę.

WŁAŚCICIEL CYGARA (*podchlebiony*). Nic nie szkodzi, zapal pan.

WŁAŚCICIEL OGRYZKA (*zapalając*). Niebyłby mi pan dobrodziéj łaskaw powiedzieć jak się ten prześliczny gatunek nazywa?..

WŁAŚCICIEL CYGARA (*uroczyście*). *Cazadores Cilindrados de Calidad flor.*

OGRYZEK. Przepraszam... Sztynkodores...

CYGARO (*poprawia.*) *Cazadores cilindrados...*

OGRYZEK. Ach! rozumiem... dryndados... gdyby to pan jeszcze choć raz powtórzył... tobym może spamiętał...

CYGARO (*zaczyna*). *Caza...* (*Ogryzek parska ogromnym śmiechem, cygaro oddala się w majestatycznem oburzeniu*).

Myśli i Zdania.

— Grosz przechowany na nieprzewidziane wypadki, więcéj wart, niż rzecz zakupiona za złoty.

— Miej tyle tylko czeladzi, ile ci potrzeba.

— Nieprzezorność w interesach, niepotrzebne wydatki, nieporządek i niegospodarność, przyczyniają się do upadku każdego mienia.

ZAGADKI.

7. Który koń widzi tak dobrze z przodu jak z tyłu?

(Ślepy.)

8. Czego słońce nie oświeca?

(Cienia.)

9. Dlaczego się zając ogląda gdy go psy gonią?

(Bo w tyle niema oczów.)

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj—Redaktor ADAM MIECZYŃSKI.